

OŚRODKA

JAN
ŚPIEWAK



WYBÓR
WIERSZY

WYDAWNICTWO

BRAMA GRODZKA

TEATR NN

**JAN
ŚPIEWAK**



**WYBÓR
WIERSZY**

WIERSZE
WYBRANE

JAN



ŚPIEWAK

LUBLIN 2012

OŚRODKA

REDAKTOR SERII
PIOTR MITZNER

**JAN
ŚPIEWAK**



**WYBÓR
WIERSZY**

WYBÓR I POSŁOWIE
PIOTR MATYWIECKI

WYDAWNICTWO

BRAMA GRODZKA

TEATR NN

Z tomu *Wiersze stepowe* (1938)

SONATA DZIECIĘCA

1

Gdy brat bagnetem dźgnąwszy w plecy wroga
padł,
trzmiel rozkołysał krzak tarniny,
piechota klęcząc wysłuchiwała mszy.
Zagrały karabiny oratorium Bacha.
Nad lasem kołyszącym cienie drzew brunatne
zawisło słońce, jak trup na zasiekach.
Wówczas
lata powstały z okopów i poszły na przełaj.

2

Uzbierałem liście pełne zielonego strachu,
a ślad jaszczurki w krzakach wydrążony płynął.
i jeśli z krzykiem nagłym chciało się uciekać,
żywoplot kroczył naprzód i drogę rozdzielał,
więc włokłem się ścieżyną do domu pomatu
unosząc w oczach obraz nieżywego boga.

5

3

Codziennie ogród ucztował omszały,
łopotem w gniazdach ptactwo miłowało ciszę.
Na głąz przydrożny jabłoń siała słodycz
opadłych jabłek –
stężałą treść rodzenia.

I jeśli zniemacka podchodziłem bliżej,
to słońce kolor próbowało zmienić,
więc tylko rzeźbił wiatr, cieniując chłodem.

4

A mieliśmy już w żyłach smak mazurskich jezior,
szedł pobrzęk wojny nasycony latem
na koniku drewnianym z miedzianą szabelką.
Topole zachód słońca rymowały z rzezią,
jak my żołnierzy z wyczytanym bratem.
– Kiełkował buntu urywany bełkot. –

5

Więc kradliśmy gołębie, cwałując po nocach,
i z twarzą rozdrapaną, zdobywając bramy,
schodziliśmy gromadnie zdechłe koty grzebać.
I kiedy żagiel dachów włosy rwał i łamał.
samiśmy boleśnie próbowali dociec,
czemu makuch dla nas stał się kęsem chleba,

6

bo coraz częściej tyfus zaciągał do piwnic
i krzyczał armatami – nadchodził naprzeciw.
Na martwe dłonie roślin i spalone rżyska
sypały się miesiące, zgniecione przedziwnie.
Więc bandą-tłumem naprzód szły gromady dzieci,
przez okopy płynęły na przekór pociskom.

7

A gdy do domu łuski wystrzelone wskazywały szlak,
w szeregu walcząc pierwsi, wyprzedzili młodość,
podnieśli kielnie w górę – czułem zapach lat
włóczęgi. Głaszcząc szorstką twarz ogrodu
gubiłem do was żmudnie znaleziony ślad
Dlatego właśnie tak... dlatego teraz tak...

WIERSZE STEPOWE

1

Kiedy mój pradziad step przecinał bryczką,
konie tonęły w trawie i chciało się płakać.
Pradziad pluł szpetnie i po chłopsku krzyczał
na parobka, który żeglował w kolorowym szlaku

Wtedy w domu wiśnie kwitły w szklanej butli
i sytością rozbrzmiewał park przed sztachetami.
Pradziad uczył dzieci modlitewnie kłamać,
tliły gwiazdy jeszcze, gdy wyjeżdżał młócić.

W lepkich kłosach ruble gięły się ku ziemi,
– dziad je zbierał chciwie i dawał na procent –
za oknem Dniepr darł głązy i przynosił nocą
porohów wrzask i poświst, swe wiekowe brzemie.

A pośród liści leszczyn i w modrzewiu polnym
przegnięte garby chałup gięły się pod wiechciem.
Przez sen pradziad żuł zyski i liczył mozolnie.
Cuchnął snop oborą i buciory dziegciem.

7

2

Step, pysk rybi i wytarty krzemień,
sycki piasek przesywał przepaloną ziemię
i znienacka pagórki biegną za brzożami,
omijają strumień, który ukrył kamień.
Mech, meduza kory, łuszczy się zielenią,
wieczór kradnie kolor i w fiolet zmienia.
Tylko słońce we dnie, tylko księżyc w nocy,
pasikonik w podskokach z trawą się jednoczy
i wypływa brzeg nagle, jak czajka na połów.

Stado fal się pluszcze, ociężałe woły,
kruche szkło w łodygach pulsuje uparcie,
pędzą wiatry w polu, jak igraszki charcie,
dzika jabłoń chciwie podstuchuje wiśnię,
boi się, że nagle jak chmura rozpryśnie
i – ulewa jabłek w dłoniach żrałej trawy –
straszy noc, południe, ze zmęczenia krwawi,
nie przeleci bachmat ani koń kozacki,
człapie wóz po polu, ślepo, po omacku,
w skroniach mięta tętni, oddychają jaskry.
Step skręca się jak ślimak i zwyczajnie gaśnie.

3

Latarnie płoną w wodzie i po wodzie kroczą,
pociąg rzuca w Wisłę pędzące talary,
kiedy słońce, w liściach winogron zbłąkane nieśmiało,
błękitnieje i więdnie w kleistym upale,
a ukośne ścierniska wchłaniają moczary,
nie umiem klękać wierszem –
step mam dzisiaj w oczach,
nie umiem kłamać słowem, miasto kłamie nocą,
a ty mi mówisz dzisiaj: kroki gasną w piasku,
a ty mi mówisz jeszcze: do ust gałąź przyłóż.
Gołębie ponad miastem furkocą pochyło
i wieczór ginie w bramach i bramami klaska.
I tylko parostatki jak włóczęgi drzemią,
przykucnąwszy u brzegu jak dzieci pod mostem.
To Dniepr szpieguje wyspy i porywa ziemię,
nad falą czajka śmiga i poluje dziobem,
czerwienieje horyzont, jak rozcięty kawon.

Trwa marsz sitowia.

– Zbłąkany i upity tobą
snują się po ulicach oślepięj Warszawy
i myślę: dobry kamień, który sączy zieleń
i każe miastu nagle piętrami urastać,
i marzę: cóż właściwie nas dzisiaj rozdziela,
chyba wiersz ten, co cieniem wsiąka w mury miasta...

I step zamiera we mnie niby Dniepr pod tamą,
i światło na gałęziach przepływa strzeliście.
Ulice budzą księżyc. Spadają gwiazd liście.
I jestem smutny, jak ty, przyjacielu, tak samo.

4

Odpędzony od ciebie, wołam dzisiaj z dala,
niech ręce wznoszą piony, żelbetony wzniosłe,
niech kurhany i dom mój przeorzą traktory.
Jak nożem zorzy ścięta, wieczorami chora
opadła moja młodość, nie umiała szaleć.
Płynąłem długo w łodzi odrzuciwszy wiosła
i muszla gaśnie sennie na sennej przystani.
Warszawa reflektorem bada gwiazd zawiłość,
rozmawiamy wierszami, zamiast krzyčeć głośno.
Przyjacielu, nieprawda, nie jesteśmy zbłąkani,
wrośliśmy w zieleń łodyg, tak jak błękit w wiosnę.
Nie damy podciąć dni swych, tak jak brzytwą żyły.
Nie będziemy na murach, samobójcy tkliwi,
jesieni wchłaniać w siebie ciemnią oczodołów. –
Brygada idzie rażno, składa kłosa w snopy,
brygadzie śpiewam pieśń tę – i ona mnie woła.
Zapora każe falom mijać brzegi krzywo,
oglądać marsz motorów, brzęczenie stada łopat.

I woda uniżenie odchodzi na lewo
i topi dwór, burzany i krzyczące drzewa.
A wtedy, przyjacielu, choć nam smutno dzisiaj
i mgła przykrywa oczy, ku Wiśle zagarnia,
bośmy umieli tylko supłać słowa czarne,
miast cegłą brzegi tamy trzymać w garści mocno, –
idziemy nowi w sobie i po stokroć cisi
naprzeciw własnych cieni, wyleniałych do cna.

RODZICE

Kiedy ojciec podchodził do mnie,
wypływały białe obłoki dudniąc,
biły oczy w mgławicy ogromne,
szkliły słowa jak zieleń w studni.

– Trzeba w stepie żrebakiem się tarzać,
przed strumieniem pochylać się nisko,
zanim jesień wybuchnie na twarzy
niespalonym nigdy pociskiem.

Wtedy jabłoń wyruszy naprzeciw,
piszczałkami rozdzwoni się wicher
Nuż jelenia i deszcz mijać w lecie,
bezszelestnie odpływać i cicho. –

A gdy matka pochylała nade mną
śpiewne słowa, wydobyte we śnie,
rosły zielska pokraczne i ciemne
i w pokoju madonny bolesne.

Czarne niebo gwiazdami dogasa,
niesie burzę jak granat dostojną,
idą świątki w wytartych riasach,
płaczą – Rosja – i wołają – wojna.

Ej, drogami, drogami, ścieżyną,
Ej, polami, polami, na przestrzał,
cierpka wiśnia do wargi podpłynie,
w czarnej ziemi krew ciepła szeleści

Stoi matka i widzi – dni wyścig
i pojąć nie może, za nic,
wtedy ojciec przywołuje liście,
zielnym ptakom grozi łkaniem.

I w krogulca się zmienia i w sowę,
gołębicą fruwa matka przed nim.
Bije grzmot i ciemnością dom owił,
zanim dzień nie dojrzeje letni.

Wtedy płonie mój dom w błyskawicach,
wtedy milczą i płaczą oboje.
O rodzice, rodzice, rodzice
jakże trudno synowi was pojąć?

* * *

Podpływa strumień liści, pieniać się zielono
i przez ogród na jezdnię opada rozgrzany.
W flakonach światło tłucze szkło i płonie.
– Jaskółki wyprzedzają dudnienie furmanek. –

Już noc zdmuchnięta gaśnie, każąc drzewom kroczyć,
i zrzucać dzwonki liści na pachnącą trawę.
Do studni ciągną konie, niosąc smutek w oczach,
i chłepczą mroźną wodę, która tnie i dławi.

Rozchwiana chmura wtedy w ogromnym bajorze
poczyna blednąć z wolna, i spłoszona gaśnie.
Wybucha okno w górę, wzbija się jak orzeł.
Strugami spada pluszcząc – jasność.

I tylko zbierać w dłonie i na wargi składać,
nacierać twarz i usta, aż rozpoczną śpiewać,
bo gdy przeminie kropel znikające stado,
zostanie tylko spokój milczącego drzewa.

* * *

Po schodach wierszy do ciebie pnę się zwinnie,
odpływają okręty – ptaki, ale ciebie nie ma.
Smutnie gra muszla morza, połysk siny,
i w srebrnych poświstach wstaje ziemia.

Z sokołem na ramieniu ścigam twoje tropy,
myśliwy na gałęzi bladą gwiazdą zawisł.
Po górach pnę się cieniem śnieżnych kopyt
i w nierozkwitłych krokach chwałą krwawię.

A ty wymykasz się jak sarna, mewa, lwica
i wiatr ogniem włosy twoje płowi.
U kręgu horyzontu ustami cię schwycę
i skamienieję nagle, oślepty światowid.

I jakież wtedy poseł przyniesie odpowiedź,
na skrzydłach chmury opuszczony wiszar?
U strumienia siądą ludzie pochyliwszy głowy
i mieczem zetną kamień pełniejszy o ciszę.

Z tomu *Wiersze* (1950)

* * *

Wydobędziemy z oczu wieczór,
a potem step i wiatr, i mróz,
i krzyk gałęzi, gniazda brzoź,
a potem leczyć, leczyć, leczyć.

Wtedy zawieja. Drogi pluszcząc
rozjaśnią dzień, co w tobie zgasł.
i płonie bombą podpalony las –
Twój wzrok schylony w ślepych lustrze.

A wtedy wiersz strzaskany zbliża
i las, i gałąź, Wisły brzeg
w gasnącej tęczy. Pada śnieg
i noc nadciąga. Wyżej

chmury się wloką. Czas się wlecze.
W zieleni śnieżnej niemo trwasz.
I lód. I w liściach twoja twarz.
I step. I wiatr. Ach, leczyć, leczyć.

(1944 r.)

* * *

A przecież wreszcie się wypali
dno naszych dni. Zaginie sztylet.
I z żwiru tęcza się wychyli
jak mróz, co cieniem kruszy fale.

I zwiędnie zapach lat i stli się
jak w kruchy proch się zmienia drewno.
W głąz skamienieje to, co dzisiaj
odpryskiem burzy bywa gniewnej.

I głąz wydrążą: wiatr i czerw.
Zagaśnie piasku niema rzeka.
I pozostanie tylko nerw,
nagi, oślepy nerw człowieka.

(1946 r.)

Z tomu *Zielone ptaki* (1958)

* * *

Nagle zaczął krzyczeć
przeraźliwie.

A właściwie wydzierać z oczu:
strzępy ulic, gałęzi, zamieci,
ołowianych żołnierzyków, więziennych krat,
rodzinnego stołu, książek, ptaków.

Daremnie.

Wtedy znowu zaczął wydzierać z oczu:
głód, dwie wojny, zastygłe miasto,
tupot koni, świst chmur.

Aż

na dnie obrazów dojrzał:
trzepoczącą u ściany matkę
i kredową górę
rozstrzelanych.

* * *

Podczas ulewy ujrzałem spadającą kroplę.

Długo obserwowałem jej lot.

Życzyłem jej:

Niech spada powoli. Nie śpieszy się. Bardzo powoli.

Niech wchłonie w siebie kolor błyskawic, smak wiatru,
szum światła, oddechy wszelkich zieleni.

Niech upodobni się do ptaka i do niedźwiedzia,
do kijanki i do motyla, do oceanu i strumienia.

Niech czernieje jak chmura,
stanie się miodna, brzoszowa,
uśmiechnie się solą, piołunem.

Niech będzie lekka i bezwładna,
dźwięczna i oniemiała.

Niech przywdzieje wszystkie stroje.

Kropla.

Drobna kropla rzęsistej ulewy.

Z tomu *Dialogi naiwne* (1960)

SMUGA PRZEKSZTAŁCEŃ

Któż nie zadaje sobie pytania,
Odpowiadając wieloznacznie, lękliwie:
Jakaż to smuga, dojrzewająca w nas,
Smuga przekształcania się, odejścia,
Zbliżonego oddalenia, kwitnącej chciwości?
Jakaż to chwila, kiedy źrenice stają się żywotne
Żywotnym łaknieniem kruszących się spojrzeń?
Wszystkie zmysły rwą się do biegów.
A każde źdźbło ujawnia już swoją mowę.
Pochłaniają bezwstydne zielenie.
Piasek ukazuje swoje codzienne zwyczaje,
Skały nie ukrywają swej wstydlivości.
Kruszce kołują wyzbyte ciężarów.
Wody olbrzymieją dzwonnymi kroplami.
Ziemia rozszczepia barwy i kształty.
Sympkie tłumy powietrza zwierają się.
Gdzie palce wrzucone w mięsiste korzenie?
Witaj, sąsiedzie z okien strzaskanych kulami.
Dobranoc, owoce. Wasze smaki odjeżdżają.
Dobranoc, mięśnie. Wasza żywotność zbyt wzniosła.
O, karawana przemian tocząca się w poprzek, na przełaj,
O, tkliwe bezsłowie krzyku niemego.

OTO DZIWIY MOJE

W mojej kieszeni – jelonek i gwiazda.

W mojej kieszeni – kolibry, gazela.

W moich włosach – pioruny i śniegi.

W moich włosach – niebo uśmiechnięte.

W moich dłoniach – kareta, bizona.

W moich dłoniach – piszczałki i skrzypce.

Gwiazda i jelonek, bizona, kolibry,

Śniegi, nawałnice, kareta, jabłonki.

Oto dziwy moje, oto skarby moje,

Które zdmuchnie wiatr.

KARKULUJĄC BEZ DROGĘ...

Karkulując, za sosną na prawo
Będzie z hakiem z pięć kilometrów,
A na lewo bez drogę, gdy patrzeć,
Na wyrajach kołuje lesistość.
Po krwiobieżnych kamieniach
Porykuje bez gardła uchata.
W pępownie kościstych gałęzi
Gad plugawy szasta jęzorem.
A wśród wyrwów porośłych korzeni
Leci światło po nocy iskrzące.
No i wszystko już przeszło, mój panie,
Karkulując, znaczy się, koniec.

MYŚLĄCY LIŚĆ MOORA

Liść stanął na dwu nogach.
Liść stanął pewnie, patrząc sceptycznie,
Patrząc obojętnie i wytrwale.
Był liściem, to znaczy miał kształt liścia,
Miał spłaszczony owal i żyły ścięgien,
Tylko lekki zarys dzioba ukazywał charakter
ptaka albo zwierzęcia.

Myślący liść roztropnie nie dostrzegał innych stworów.
Nie dostrzegał stworów także myślących.
One patrzyły na liść z lękiem,
Patrzyły wymijając własne obawy,
Wymijając własną obcość, własną nieufność,
Nieufność spojrzeń rzucanych ukradkiem,
Spojrzeń czołgających się od okien do okien,
Czołgających się od sufitu do ściany.
Mój wzrok, mój kruchy wzrok płonał.

Z poematu *Słowo o człowieku*

SŁOWO CZWARTE O SPALONYM MIEŚCIE

1

Na brukowcach wyrastały mamuty, ichtiozaury, Trygławy,
Ucho bizona podnosiło latarnie,
Białe, zwierzęce kły dźwigały domy do góry.
W mogiłach wodzów łucznicy mierzyli w czoła.
Urny z popiołami kryły się głęboko w ziemię.
Przechodnie obojętnie przechodzili przeze mnie.
Patrzyli na mnie, cisnęli się, odpływali hucznie.
Na wyspie zgiełków gołębie uwijały gniazda.
Czy doprawdy gołębie na zgiełkach uwijały gniazda?
Śmieszne gołębie łągodziły rysy ulic.
Osmaleni przez wiatr słowiańscy bożkowie
Wzrokiem ścinali fale, strojni w wieńce ziołowe.
Na piaskach zdmuchniętych dębów
Piorunował dym wonny, karmiąc wilczyce przestraczem.

23

Tak długo szedłem do miasta unikając rozdroży.
Szedłem przez step, pluchawice.
Szedłem przez złookie wyraje i lasy,
Poprzez chrobotanie duszków w podłodze,
Poprzez chleb, piołun i jaskier.
A razem ze mną biegł Boruta,
Skacząc z gałęzi na gałąź, okryty lebiodą i miętą.
Safian dzwonił jękliwie bagniskiem,
Rokita, Klekot i Szkodnik
Wiodły chmury za uzdy, rogate bawoły powolne,
Cyganki włóczyły się w polach,
Rozkładały na trawach karty wróżebne,

A Cyganie grali na dudach,
Z pastwisk konie pieśniami ściągając.

Będą Lelek, Topicha po śródmieściu wędrować,
Żabie pyski zaganiać do piwnic.
Będą diabły wyrajne i polne, i leśne,
Diabły ściernisk, poddaszy, kołowrotne, wymienne
Znosić dla mnie listeczki, znosić rutę, śnieguły,
Wylegiwać się w rzęsach, iść przez sen zaułkami,
Będą turlać do słowa jagodowe przyśmiewki
I jabłonne przygwarki, i syczące ciurlanie.
Będą słowo ostrzegać przed stopami przechodniów,
By nie zgnetli nogami, nie spłaszczyli kolanem,
I nie cięli go kwarcem, nie wbijali widelca...

Nieraz słowo rozkładało ręce żałośnie
I patrzyło na mnie z wyrzutem.

Odbiegały od słowa jagody.
Rybie pyski chęptały powietrze.

Czemu obcas miazdży zagajnik?
Tam i niebo, i ziemia, owoce.
Tam i ptaki, i muszki, jeżyny.

Ja najchętniej do drzew bym, do liści.
Mnie przyroda nigdy nie skrzywdzi.
My z nią razem na ty, od dzieciństwa.

Wy, Mamuny, Smółki i Cioty,
Nawiedzonych przyślijcie, pokracznych,
Niech lelują śpiewaniem piskliwie,

Niech kuleją, garbią się, kaszlą.
Niech czołgają się, pełzną, zawodzą.
Oni słowa znają jęczmienne,
Niedorośle, przedkwitne.
Oni znaki znają zajęcze.
Są uczeni w błyskach korzennych.

Oni każą jagodom powrócić do barwy,
Nawiedzeniem scalają oddechy.

Na brukowcach kamienne przestrzenie,
A w kamiennych przestrzeniach piaszczyste mogiły.
Nacierają muszle kamienne i płazy,
Wielookie ptaszyska, potwory.
Tam w glinianych skorupach bojowanie żyzne.
Tam przemiana bezkształtna, kaleczenie wymiarów.
Bezcieństa wymiana ogłuszonych bezsłowiem.
Tylko w szparach duszkowie rozprawiają uczenie.

25

Kołbuk, Piecuch, Chowaniec unerwiają pokoje.
Oni wiedzą, co będzie. Oni krzyczą wzorzyście.

Cmentarzysko mamutów, rekinów,
Mieczów, urn i granitów
Przypatruje się domom uważnie.

Ja w śródborzu rozsypisk kamiennych
Nie strzelałem słowami-kulami.
Moje słowa do ust dopadały,
I krzyczały, że wojna, że ginąć.
Moje słowa uczyły mnie smutku,
Niepokoju, lęku, obawy.

SŁOWO SZÓSTE O SAMOTNOŚCI I NIEWIEDZY

1

Jak mogło się stać? Jak mogło się zdarzyć,
Że ja, który znałem dotychczas rodzinny dom,
Ja, otwierający oczy przed liściem płynącym,
Ja, otoczony czułością oczu rodziców,
Odszedłem na zawsze, odszedłem tchórzliwie,
Bojąc się zamilknięcia swojego pulsu,
Bojąc się własnych wypalonych oczodołów,
Bojąc się piasku, warczącej ciszy?

Jak to się stało? Jak to się mogło zdarzyć,
Aby tysiące kilometrów mówiło rysami rodziców,
Aby śniegi wspominały oczy?

Jestem wśród białych drzwi, białe ściany zwierają się,
Biały dom płonie białą zawieją.
Oto rachunek krzywd. Białe ptaki zamilkły.
Oto marsze, które ścierały stopy.
Zimne krople rozdzierające wargi.
Pociągi, okręty, tratwy.
Drzwi dróg zatrzaśnięte ulewą.
Słupy powietrza zwęglone.

Wiem, to nie jest sprawa mięśni ani nar,
Ani samotności, która zwierą lata.
Szedłem krokami strachu, wyjąc.
Szedłem oszukujący siebie nadzieją.
Szedłem zapięty po oczy milczeniem,

wyślizgany jak kamień.

Jestem już stary. Jeszcze oczy moje patrzą.
Jeszcze usta moje otwierają się.
Nary wrzynają się w skórę. Biegną ogrody.

Wrócę do domu? Góry strącają płomienie.
Mrozy w lasach kuleją. Sny, przestrzelone wojną, krwawią.
Co dalej? Cegły pachną pieczystym.
Kraby wędrują przez noc.

Tchórz jestem. Marny tchórz i niedojda.
Trzeba było iść bić się. Matka trupy przynosi.
Patrz, mówi, oto są zboża, oto kąkole i chwasty.
Dobre kąkole. Pasza dla ziemi jałowej.
Sam jestem. Sam powielony nocami.
Kula, która przebiła rodziców, powinna była mnie zabić.

Ziemia rodzi burzany, tarniny.
Wyświdrowane krużganki toczą ciemności.
W skałach słoje smoliste trzaskają uczenie.
Warstwią się sole lustrzane.
Wysłuchuję się w mowy kamienne.
W abecadła kamienne.
Wysłuchuję się w różne mowy kamienne.
W nerwy kamienne.

O, bazalty, kredy, piaskowce, zlepieńce, wapnie i kwarcy,
Światy gaworzące, świergotliwe trupiarnie,
kołyski rozrodcze.

Mowy pozaprzestrzenne, ściśle niezrozumiałe.
O, stada fosforu i siarki, ołowiu, żelaza i miedzi.
Stada spasione na łąkach skruszonych wiatrami.

Kto mnie nauczy odwagi?
Kto mnie nauczy sztuki mówienia?
Kto mnie nauczy roztropności kruszcu i trzciny,
Mrozu i skwaru, lotnego dowcipu łądygi,
Wyrozumiałości soli, gorzkiej ironii siarki?

Aleksy, Antoni, Emanuel, przyjaciele moi nierzeczywiści.
Zmarszczki waszych policzków znały niejedną przypowieść.
Znaki na dłoniach i palcach mogłyby wiele powiedzieć.
Cóż z tego?
Wielbłądy wy moje, dromadery moje, polne świerszczyki.

Pewnego dnia byłem murarzem. Ach, jakież to
murarz był ze mnie.
Pewnego dnia byłem drwalem, innym
razem byłem rybakiem,
tragarzem,
Ładowcą piasku i śniegu, kiepskim hodowcą ryb śniętych.
Pewnego dnia przechodziłem przez zamrzniętą rzekę.
Lód dłużył się, skrzypiąc. Biegło na przełaj pole lodowe.
Popołudnie zanurzone w śniegu cierpło do kości zsiniałej.
Na placu Cyganka groziła ochryple, będziesz szczęśliwy.
Łatwo powiedzieć, będziesz szczęśliwy.

Teraz w moim pokoju stoją na baczną księżki,
Których czytać nie będę. Jestem im niepotrzebny.
Drewniane świątki wynurzają się z książek.
Drewniane ptaszki świergocą tryle drewniane.
Niech muzykują. Kruszce, uparte kamienie
Co dzień drepcą za mną po drogach.
Elementy ich bytu prześlizgują się przeze mnie,
Okazują mi swoją nieufność, patrzą złowrogo.

Cóż dla nich znaczą moje pojęcia, takie jak:
Zdrada, obłuda, zniechęcenie, niewiedza?
Jestem jak oni, też niewspółmierny.

Nie mogę zdradzić nawet cmentarza.
Zazdroszczę tym, którzy mają swoich
nieboszczyków przy sobie...

A ja nie znam jakiejś tam góry kredowej,
Nie zobaczę jej nigdy uśmiechnięty obłudnie,
Przygwożdżony obłudnie do stołu,
Zawieszony na własnej obłudzie.
Uśmiecham się obłudnie na widok jabłka na drzewie.
Podnoszę obłudnie ciężary, udając zmęczenie.
Obłudnie chwale ulewę, trzęsąc się z zimna.
A właściwie nie jestem i nigdy nie byłem obłudnikiem.
Zniechęcony do własnych oczu,
Zarzucałem ciemność na własne źrenice.

29

Wtedy wszystkie moje zmysły galopowały obłudnie,
Wszystko zmieniało swoje imiona i twarze.
Poprzez czarne źrenice maszerowały ciepłe kolory.
Zapachy odurzały skroń, bębniły fale pierzaste.
Barwne dywizje tryumfalnie omijały nozdrza,
Tylko moja niewiedza, absolutna niewiedza
Równała mnie z kruszczem, fosforem i wapnem.
Myślałem, odróżnia mnie brzuch, czyli poczucie głodu,
Ale któż mi zaręczy, że kruszec też nie jest głodny,
Głodny pastwisk, łądów i oceanów.
Mały samotny człowieczek, nieumiejący
sformułować dwu zdań,
Szedłem od miasta do miasta,
Jagnię kudłate pobrzękujące dzwoneczkiem.

Wyszedłem z cmentarza smagany wichrem i piaskiem,
Wyszedłem dwakroć z cmentarza chwiejąc się,
Wszystkie moje zmysły zwoływały się.
Moja głowa z łatwością unosiła się w górę.
Moje ręce mogły wykonywać wszystkie ruchy.
Tylko nogi moje, nieszczęsne nogi moje,
Były skalistymi górami wbitymi w głąb ziemi.
Wyszedłem z cmentarzy, gasząc wzrok mrozem.
Na moich cmentarzach nie wyrosła ziemia.
Na moich cmentarzach wyrastały lęki.

Grajmy w warcaby ulepione z gliny,
Ulepione z kory, wapna i lebiody.
Ustawiamy warcaby po drogach popiołu,
Po drogach wypalonych, po drogach milczących.
Bezcielesne wraki, nienazwane wraki
Uczuć nieostygłych, unoszone w czasie,
To cmentarze własnych oczu,
To cmentarze zmarszczek, palców, skroni.
To cmentarze przeczuć, wrażeń, niepamięci,
Nerwami wydobyte na ekrany czasu,
Z pętli czasu wyłonione, w pętlę czasu powracają.
To cmentarze sporów, niezrozumień,
Narodzin śmierci i uśmiechu, narodzin westchnienia,
Narodzin tonu, narodzin barwy.

Narodzone kolory ścigają się,
Wyślizgują się z czasu,
Wyślizgują się z ziemi, z obłoków.
Łakome kolory łechtają kamienie,
Łechtają fale i chmury,

Smakowite kolory gdaczą puszyście.
O, chciałbym wydobyć je w poczęciu, w przekwicie,
W nieustannej dążności do światła.
Kolory chłopcą odbicie strumieni,
Chłopcą jezorami tęcze,
Oddechem dotykając ogni,
Pełznąć stadami owadów,
Ustokrotnione niepokojem mrowisk,
Oddzwonione w ślimakach, muszlach i koralach
Obryzane pianą w mulistych stawach.
Ślizgając się do źrenic pogody
Kulejące kolory pękają od przejrzystości.
Narodziny krwi, narodziny zieleni,
Pośpieszne wybiegi łądyg,
Wzajemne przenikanie się komórek,
Niemowlęcy świergot listowia,
Podskoki tkanek zdziwionych,
Skrzętne gryzienie słońca:
Wy także jesteście cmentarze,
Płaskie cmentarze marzenia.

31

Grajmy w warcaby we czworo.
Ja, Aleksy, Emanuel, Antoni.
Grajmy w przesypywanie piasku i żwiru,
Grajmy w tuczenie morza.
Ustawiajmy warcaby na strumieniach deszczu,
Ustawiajmy na dzwonek storczyków, konwalii,
Na niebieskich łąkach łubiny
Wypasają baranki zdumienia,
Wypasają baranki zachwyty.
Czerwienieją jabłonki w ogrodach,
Śliwy sinieją w gałęziach,

Morele pyszną się smakiem,
Chodzą beznodzy, kulasy, ślepcy głuchoniemi,
Trzaskają sztucznymi rękoma,
Krzywią gęby, hołubią protezy,
Pokraczni zlepieńce bitewni.

Ustawiajmy warcaby międzygwiazdne,
Pośróddzienne, przedświtne.
Ustawiajmy warcaby ostrożnie,
Grajmy w powroty niepoznawalne,
W powroty trzeźwe, kruche, kredowe.
Grajmy w powroty w snach wyszczerbionych.

3

ZWAŹPIENIA

Jak mogło się stać? Jak mogło się zdarzyć,
Aby na mój widok kwiaty zwierały liście,
Brzoza unosiła gałęzie do góry,
Kamienie odwracały oczy ode mnie?
Jak mogło się stać? Jak mogło się zdarzyć,
Że kwiaty stawały się nie do podźwignięcia,
Odchodziły ode mnie, rozsypywały się,
Że listek, który przedtem był przyjazny dla mnie,
Charczał na mój widok, spalał się?

Moje ręce odbiegały ode mnie.
Moje wargi galopowały po chwastach.
Mój puls bił przeciwko mnie z zacięciem, ponuro.
Chodziłem od kamienia do kamienia,
Od rowu do rowu, od piasku do gliny.
Moje myśli czołgały się, syczały.

Pewnego dnia ziemia rozprysła się.
Morza wyschły. Ptaki odleciały.
Pewnego dnia śnieg podbiegł do mej skroni.
Ryby wyłoniły się z rzeki i urągały mi.
Były bezwstydne w swej chępliwości.
Pewnego dnia chrabąszcz zaczął pouczać mnie,
Kpiąc niemiłosiernie z mojej niezgrabności.

Pewnego dnia szczygieł opluł mnie śliną,
A ja rzeczywiście byłem niezgrabny i otepiały.

Gdyby grad spadł, nie ruszyłbym się z miejsca.
Gdyby ogień dotknął mojego czoła, nie ruszyłbym
się z miejsca.
Gdyby stopy moje pojmały gady, nie ruszyłbym
się z miejsca.

W pustych łóżach ptaki milczały.
W głuchych drzewach ślepy owoc.
W bojaźliwych strumieniach piasek się rozsypywał.

33

Moje zmarszczki świadczyły przeciwko mnie.
Powikłane ścieżki moich kroków świadczyły
przeciwko mnie.
Moja bojaźń świadczyła przeciwko mnie.

Dotknięty byłem bojaźnią nadziei.
Nadzieja mnie zawstydziała.
Nieruchomiałem w nadziei.
Żyłem w smętnym kłamstwie nadziei.

Mówiłem sobie, tak musiało się stać.
Nie mogło stać się inaczej.
Wszystkie drogi są jedne.
Wszystkie drogi przeczyły mi.
Odwracały się ode mnie, nie chciały mnie dojrzeć.

To nie zmije słów, to nie groty słów, nie zwierzęta słów –
Sypki wiatr pobity plagami.

Mówiłem więc, drwicie ze mnie.
Mówiłem, wyśmiewajcie się ze mnie.
Wasza drwina okaleczy moją nadzieję,
Upodobnię się do zdartego brukowca,
Upodobnię się do poczerniałej gałązki,
Do odrzuconego wywłoka narodzonej wazki.

Kiedy prosiłem o drwinę, nikt nie drwił ze mnie.
Kiedy prosiłem o uśmiech, mlaskało milczenie.
Nie wychodziłem naprzeciw milczeniu,
Nie omijałem go, nie pochylałem się przed nim.

Milczały liście. Milczały kroki. Milczała glina.
Milczały wystrzały. Milczały słoty.
Milczały ujścia rzek.
Nie przemówił ani owoc, ani cień, ani krzak mizerny.

Nie otwierały się usta wiatru do szeptu.
Nie poruszała się pierś skały.
Nie drgnęła dłoń drogi rozstajnej.
Powiedziałem sobie, nie musiało tak się zdarzyć.
Powiedziałem sobie, trzeba wyrwać dno swoich źrenic.
Trzeba samemu spojrzeć w dno swoich źrenic.

Więc spojrziałem i zląkłem się.
Tam kwiaty rozwierały liście.
Brzoza łagodnie podnosiła gałęzie.
Liście żartowały, aby mnie rozśmieszyć.
Kołysały się morza. Szeleściły piaski.
Słoty wżerały się w kości.
Skwary wysuszały wargi.
Ziemia otwierała jamy żarłoczne.
Szczygieł wykpiwał moje zdziwienie.
Noce unosiły senność cienistą.
Burzyły się czarne wodospady.
Miecze bolidów rozcinały słupy powietrzne.

Z dna moich źrenic wychodzili rodzice.
Szli od domu do domu, od drogi do drogi
I szukali mnie wszędzie, rozpytywali się.
Unosiła się góra wystrzałów. Popioły pełzały.

Z tomu *Zstąpienie do krateru* (1963)

TRZASKANIE PŁASZCZYŹN

1

Okręty wojenne kroczą po morzu.
Salutują się uśmiechnięci królowie.
Dynamit chytre oko wytrzeszczył.
Szczęśliwa Austrio rozszerzaj się ślubami.
Kwitnie ucho odcięte.
Smukleje wiekami katedra.
Od głodu, pomoru i sękatych żywiołów
Chronią trzęsawiska warowne.
Wkoło karet nie owinie się słońce,
Żrenica smaga powolny krajobraz.
Podkute buty na przekór muzeum.
W zwojach mózgu embriony snu wrzeszczą.
Walc panowie i panie, walc, walc dookoła.
A zza walca gęba armaty nienasyconej.
Drzwi otwarte w głąb tętnic.
Drzwi otwarte w głąb pulsu.
Schodźmy schodami do piwnic zatęchłych,
W piwnicach szczeka nerw pogryziony.
Zielone smoczychy młode karmią smoczęta
Lepkim warem tarniny i nożami jemioly.
Chodzą strachy po miastach tłamszą dachy kosmate,
Strachy głuche i ślepe cuchną gliną i wapnem,
Wypełzają z portretów, wybłyskują kamiennie,
Nawarstwiają się wzgórze barwy świetlistej.
Wyskakują z płócien wyjących
Kościotrupie koguty i grymaśne płomienie.

2

Na powietrzu siedząc niewzruszenie
Rozmawiają wnukowie cudacznici.
My, którzy pomrzemy w okopach,
Chcemy w pojazdach z żelaza
Karmić chaty nasze, drzazgi bezkrwiste.
My, którzy chmury opasłe pędzimy
Do głodowych pastwisk mosiądzów,
Powiadamy wam, będzie czołgać się ziemia.

3

Mordobicie jaszczurek, motyli,
Czarny ślad trawy zwęglonej.
Ognie gaworzą chytrymi iskrami.
Parskają głodne rzeki strumienne.

4

Ubranie, toból, but i ława,
To wszystko ogranicza myślenie.
Podłogą więziona ława syczy,
Ślepe palce wyrastają z rękawa.

5

Trzaskanie płaszczyzn charczących,
Lasów, jezior, pociągów.
Tłuczenie słów, ziemi, modlitw,
Obsłinionych powiek, rąk wyciągniętych.
Trzaskanie pamięci grząską kratą obwarowanej,
Warem pian wieków szczelnie stłamszonej,
Pamięci wyslizganej stopami przechodni,
Odrutowanej kratami ustaw i rozporządzeń,

Uroczystych namilczeń i znaków – bulgotów.
Perun drewniany łuskami ryb uzbrojony,
Jarosława kopnięcie odbrzmiewa Dniepru falami.
Czarni kamienni znawcy szmerów i plusku znachorzy,
Kamienni słuźalce, magowie i prokuratorzy,
Trzaskanie śniedzi przeszłości, przewidzeń i przewidywań.
Wsi z belek sosnowych, kikutem ócz wyciągniętej do morgi.
Rzeki w mundur granitu ubranej.
Trzaskanie pól porośłych lebiodą,
Miaś bielmem ukrzyżowanych,
Przetaczanie porywczych obszarów przygwoźdżonych
twierdzami puszczy,
Chłopski charkot gęstymi kłosa mi skowycze.

6

Na żalniku leżą twarzą na wschód.
Płaczennice łzami smagają.
Ubożęta gromadnie w wirach wirują.
Żmija wzrok słońca chłepcze.
Nie znieważaj słońca, nie znieważaj ognia.
Uklęknij przed nowiem, licz do trzech razy.
A ty bzie czarny, a ty bzie czarny
– Weź moje bolenie pod swoje zdrowe korzenie –
Ochraniajcie strzałki piorunne.
Nad dachami porońce i pła netnice,
One chmury dźwigają, one kręcą nimi jak trzeba.
A borońce po lasach dookoła kołują,
Rodzani ce plugawe znaczą losy niechybne.
Ty kiel wilczy przebij żelazem.
Krecie nóżki, uszy zajęcze daj niemowlęciu.
Kaźdego zioła znaj imię.
W ziołach życie, w gła zach życie, życie w wodzie pływającej.
io, ia-o-io, ia, cok, io, ia.

io, ia-o, io, ia, cok, io, ia.

7

Po włóknach nerwu kroczy głaz.
Ma zarys oczu, uszu, warg.
Żelazo, siarka, ołów, ruda.
To rad i tor, i grząski war,
I okrzyk ryb, wyżarty las,
To biała krew i glina ruda.

W sygnałach warg – jaszczurki syczą.
W sygnałach uszu – słowo skwierczy.
W sygnałach oczu – niebo płynie.
Zachłanny on, wilgociożerczy,
Gdy włókna nerwów burzą ryczą,
Zapada w przeszłość i nie ginie.

Embrionem będzie, mrówkojadem,
Kolumną stali, dębem czarnym.
Jak dźwigar, gałąź, giez samiczy
Ubrany w rubin, w piasek skwarny,
Gromami milczy, parska jadem.
– On głazem będzie albo niczym.

39

8

Rzeką płynąłem równocześnie i niedoskonale.
Drzewo nad wodą rozciągniętą siecią gałęzi
Chwytało przeszłe moje dzieciństwo.
Bielone chaty przechylały wzgórze na ukos.
Strach rybich oczu statek kołysał.
Mamo, na niebie kawaleria pisze piśma czerwone.
W oku drzazga kamienna boli.
Chersoń. Gilea, Meyerholda teatrum ogniste.

Burliukowie kurhany i skały na płótno ciskają.
Wielemir słowa rozszczepia z liczb, świergotu
i zaklęć tworzone.

Grochoczą skamielin baterie niedościgłe.
Zachłanność przekształceń zwierząt rozrodczych.
Dynamiczne bohatory milczenia.
Mój dom wstecz płonie.
Moje wyciągnięte ponad wodami dłonie płyną bezradnie.

9

Spadające jabłko Newtona jest chwiejne,
Ziemia przed nim ucieka.
Żrenice czasu są niewspółmierne.
Nic nie jest ściśle.
Ja, który zabiłem staruszkę,
Kajam się przed wami na rynku.
Ja, który uciekłem z Jasnej Polany,
Leżałem w surowym pokoju domu mojego,
Obok wznosiło się drzewo, na którym
dzwonek umocowałem.

W alei parku moja bezimienna mogiła
Róść będzie w pazurach spadających liści.
Ja, który żyłem w dwu mowach,
Nie wrócę do wijów, a dusze sprzedane po śmierci
Gorzkim śmiechem wysmagam.
Ja, który rozkazałem dwu prostopadłym nie
spotkać się nigdy,
Ujmuję smyczek w sobotę, by wygrać muzykę niezdarną.
Ja, który w pieczarach snu rozrzuciłem motyle,
Nie wiem więcej od świszczącego ptaszka.

10

Weź deszczułki białe i czarne.

W ziemi zakop, nakryj tarniną.
Z prawej strony ptaka wypatruj.
Zanurz rękę w przerębli.
Nastrasza hałasem, łodygą ostu i głogu.
Wejź z młodą przez okno, kroc po poduszkach.
Toporem chmury rozpędzaj.
Przewlec chorego przez drzewo.
Drzewo soczyste w zdrowiu, drzewo – zdrowie.

11

Od ciała oderwą się usta.
Od ciała oderwą się oczy.
Od warg oderwie się czerwień.
Nieme włókna żrą czerwie.

Kruszec kruchy głos tłoczy.
Ulewa dzwoniąca chlusta.
Oczy są poza przestrzenią.
Usta są poza czasem wymiernym.
Słowa obojętnie oddzielone od ciała
Uwrażliwiają krużganki powietrzne.

41

Głos niepokoju misterny,
Wyzbyty niepokoju i cienia.
Meteorytów ognie bezpieczne.

Bezkształtna, bezcielesna dźwiga się skała

Z tomu *Anna* (1967)

ANNA

1

– Przedzierał się przez świszczące przestrzenie.
Stopy pogrążyły się w ziemię.

– Wyprawiałam ciebie na ślub z ogniem,
Na ślub z głodem na białym pośłaniu mrozu.
W pętli powrotów zawieja wyłamywała palce.

– Przedzierał się przez zasieki zwęglonego krzyku.
Młaskaty miasta roztrzaskane żałobą.

– Między mną a tobą nic się nie działo.
Jeszcze kule nie nauczyły mądrości tworzenia się.
Dla mnie byłeś mniej niż powietrze.
Ono ma siłę nagłego wezwania.

– Ja cię odziałam w oczy, w nerwy.
Mój wzrok rozświetla twoje źrenice,
Tam będę istnieć jako wapno i siarka,
Jako krzak ziemi ogłuszony niemotą.

– Przedzierał się przez usypiska pamięci,
Obrzydłe kraby czołgały swe cienie.
Czyhały kleiste meduzy,
Czyniąc kształty ruchomych pozorów.
Toczyły spory z zapalczywością tchórzy.

– Kłamstwem bywa nieruchomość wiatru.
Kłamstwem bywa nieukształtowane słowo.

– Kłamstwem bywa konanie obszarów kamieni.
Pól, pustyń, pomorów.
Słońce płowiło piaski. Zielone jabłka gromadziły burzę.

– Pamięć jest zbędną składnicą pamięci,
A ja dla ciebie dźwigałam ramiona.

– Na dnie pamięci dojrzewają gromy.
Tam gnieźdzą się łomoty blizn i oparzeń.
Nie wierzę freudystom, oni także błędzą.
W marnotrawstwie pamięci kryją się jaskinie.
Pomiędzy dzianiem się skruszzonego światła
A przypomnieniem istnieją obszary topielisk.
Chrobocą grząskim świergotem szuwarów.

– Ugaszę pamięć twoją krzykiem zamordowanych.
Chciwa łagodność ziemi jest bezwzględna.
Przeprowadzę ciebie, abyś błędził.

– Przedzierał się od krawędzi do krawędzi.
Oby ręce zgasły, zanim wyszedł!
Wyszedł ręce zanurzając w nocy.
Bezmyślne ręce w nocy zanurzone!
Noc ciernistym skwarem oczy wygasza.

– Matka wzywa ciebie, gdzie jesteś!
Synku opancerzony chorobą.
Przyjdź, jaki jesteś, w łachmanach rzeki.
Pokąsany dziobami mokradeł.

– Gdy trzasnął pod nim lód,
Rzeka była przeżarta rybimi trupami.
Mógł stać się bryłą zakrzepłą,
W obrotach wirującej lawy.
Oczy czołgały się krzykiem odrąbanym.

– Drzewa gryzione dymem Majdanka
Tłoczyły zielen z żrenic spalonych.
Ptak się unosił. Zające znikają.
Prawdziwki i muchomory kryły się w trawie.
Ścieliły posłanie traw wielomownych.
Kukułka kukła. Gołębie wznosiły pogodę.
Soki pęczniały rumiane. Burzyły się wargi.

– Pod stopami chwiała się ziemia.
Czołgi wrastały w korzenie. Syczały oślepiione nogi.
Bagna przeżuwały strupieszale jedzenie.
Głód ogryzał nadbrzeże. Mrozy zgrzytały.
Wsie starte bitwami w chmurach zawisły.

– Przyjdź, wypłukany ognistymi wszami,
Przyjdź poprzez bicze trądu w liszajach litości,
Przyjdź poprzez trzepotanie malarii, pokłuty widłami
gorączki,
Przyjdź w ostrzach łusk nabojów zwęglonych.

– Kim będziesz, jeśli powrócę? Jak ciebie poznam?
Jaki masz znak rozpoznawczy? Jakie tve imię?
Nie znam wróżby na miłość. Nie znam żadnego zaklęcia.
Moje palce są w bąblach, sól je wyżarła.
Moje nogi są bosc, wytarzały je rybie wywłoki.
Moje usta są wyschnięte od wiatru uduszonego.

– Wróć. O! Wróć. Wróć, o synu!
Kule moich oprawców uczyniły mnie kredą,
Kule moich oprawców wtoczyły mnie w ziemię.
Istnieję w nerwie wapna, w ziemi istnieję
Wołaniem groźnym jak O! Jak O!

– On nie był ja, ty, oni – był on.
Kilof, grzbiet, cegła, stopy.
Od oczu do stóp mało.
Od stóp do przestrzeni wiele.
On – lęk. On – strach. On – krzyk,
Przygłuszony szorstkością brukowców.
On – niedośpiew od brzegu do brzegu.
On – jelita skamlące głodem.
On – przedzierający się poprzez gruzy milczenia.

– Dojrzałość ciała wykresła natura.
Ono rządzi samo, własnowolnie.
Twoje wołania były bezimienne.

45

– Wolałbym czas posuchy, wątłego kwitnienia,
Jałowość sal ostygłych i kruchych balkonów.
Wolałbym kluczenie i ostygłe noce.
Niepokój półlistnienia nie pomnaża troski,
Nie syci zmian bezwzględnych w przewrotne boleści.
Bo cóż jałowość wiosny, przeciągi i deszcze,
I spleeny jednostajne, i skąpe przyjaźnie.
Moje zdychania głodne były rzeczywiste.

– Sosny stroją gałęzie. Buków powyginanych żałość.
Brzóz tupot zdyszany. Trzepot osiki wyklętej.
Nie ma przyrody bez ludzi. Nie było jej i nie będzie.

To myśmy jej dali imiona, przymioty i charaktery.
Skupiona w morderstwie niechybnym odcina
krawędzie oddechów.
Niebo napina groty zamysłów.

Echa rozszerzają granice pozaprzestrzenne.
Kłęczą smaki spłoszone z kruchych płaszczyzn ciała.
Ziemia poszerza się o białe opary zawiei.
Myśl zaprzęga pojazdy przywarta do pyłu wartkiego
I do przeszłości dojrzałej w kręgach znieruchomiłej
podróży.

– Będziemy długo się mijać, myśląc powroty łamliwe.
Będziemy czynić inaczej na przekór sobie, by poznać
Doznanie ostrej inności w gorzkich runięciach spotkań.
Kto zaprowadzi mnie do pokoju lubego?
Jak dam mu poznać, że będzie wybrany?
Jak wybranie rozpozna, że jest ono właściwe?
Jak gorycze zmieniać, aby nie truiły?
Co pierw mu podpowie? Czy stopy dojrzałe i zwinne
Wskażą mu drogę do serca mojego?

– Jakie jest słowo czyniące ogień?
Jakie jest słowo czołgające się przez grudkę wapienną?
Która grudka oznacza słowo – ojciec, a która słowo –
matka?

Na początku było słowo, w nim wszystko.
Słowo, co tworzy, istnieje pozarozumnie,
Obejmujące, niepowstałe, nieforemne.
Wypowiedziane bezwiednie wargami. Słowo ma-ma
I ta-ta, które wieki kształtują prochami.
Łagodne słonie słów przenoszą kamień na kamień.
Ogień na ogień, śpią poza snem i czuwaniem.

– O synu, mówię ja, twój ojciec, ja, kreda i ziemia,
A jednak staję się twoim ramieniem. Kiedy pochylasz się,
Chciałbym nauczyć cię piołunu szukania poprzez upadki,
Poprzez obłudy, poprzez obmowę, poprzez wyzviska.
Nie lękaj się zgorzkniałych, oni są także ślepnący.

– Ja ciebie świadomie nie szukałem.

Na nic byłoby szukanie.

Pomiędzy nami przestrzenie

Przeżuwały rany pobjowisk.

Ocalone sady brązowiwały.

Pomordowani gnili obojętnie,

W studniach przeczuć kruszyły się schody pamięci.

Ich materia była z iskry,

Z grząskiego iltu, z miazgi wielokształtnej,

Istniały w dowolności trwania

Jak owoc wyzbyty kształtu.

Szedłem uparcie z wyciągniętymi dłońmi.

To, co było pozorne, kryło się za sobą,

Lękało się obszarów czasu,

Tam dokonywały się kształty,

Tam zmysły uczyły się mowy,

Tam wrażliwości przymierzały ubiory,

Ćwicząc świergoty gaworzyły grymaśnie.

A jeszcze głębiej toczyły się koła powietrzne.

W pobliskim lesie czołgał się dym.

Krztusiły się liście.

Aniołowie schodzili na ziemię.

– Przez sarny i knieje nie wołałam ciebie.

Niebo głucho od kul. Dni nie wznosiły murów.

Ognie dziewczęta płoszyły.

Rozleniwiona ziemia syczała.
Narzeczeni ginęli w lasach.
Beznogie kadłuby chłopców
Płonęły w powolnym konaniu.
Ciała dojrzewających dziewcząt prażyły.

– Gdzie miałem ciebie szukać,
W chlebie zwarzonym w śniegu,
W człapaniu kroków od nocy do nocy,
U płotów przerażeń, pośrodku zastygłych dni?

– Gdzie mogłam ciebie szukać?
Pięły się drzewa w ogrodzie,
Ich kora była syta i chciwa.
Lukrecjusz uczył snów znojných.
Twoje oczy siwiały zawieją.
Twoje usta burze ścinały.

– Ten, który kona, nie zna domu wybranej.

– Nie weszłabym do domu twójego.
Twój dom nie miał progów.

– Nie znałem ciebie z imienia
Ani z rysów twarzy, ani z dłoni.
Nie znam murów ani granic powietrza.

– Nie znałam ciebie z wosku ani z luster.

– Przyjdź o nazwie zawilej i nieczytelnej.

– W ciernistych krzakach ujadało żelastwo.

- Słowo unosiło łoże przewrotne.
- Nie gnuśniejcie, usta moje ani stopy moje.
- Bulgotała rzeka ławicami ryb ślepych.
Sól żrąc dłonie skwierczała złośliwie.
- Czemu nie przyszedłeś, gdy obcy żołnierze uciekli?
Chłód ścieżek brązowił policzki.
- Gdzie byłaś, kiedy syreny wyły na pokój
Po trzykroć grzebiąc umarłych?
Noże łez dźwigały samotność.
Ile razy bezmyślnie ginąłem.
Ile razy okradałem siebie.
Nie mogłem pysznić się kalectwem
Ani odwagą, ani umiarem, ani tchórzostwem.
Nie odgarniałem dłonią płaczu z ziemi.
- Czekałam pokoju, a nie było dobra.
Siedzieliśmy po dwu stronach milczenia.
Nie zrodziliśmy krzyku, by istniał.
Kwitły jagody po lesie, unosiły się ptaki tokując.
Pochylały się słońca u krzewów.
Ani powietrzem iść, ani ścieżką zieloną.
Krucze są baszty z powietrza.
Nie czekając, czekaliśmy razem.
- Przedzierał się przez świszczące przestrzenie,
Stopy pogrążyły się w ziemię.

- W upadkach rodzi się boleść.
Osamotnienie buduje mury obronne,
Czułe mury porywczego czekania.
- Czekwały moje usta i oczy,
Czekwały w pobliżu Majdanka.
Na nic wrózenie z ognia. Charczały pociski.
Słyły drzewa uspokojone płodzeniem.
- Pociąg wtłoczył leżących pokotem.
Cofały się miasta. Dokąd na przekór?
Droga snami zabija,
Waruje w grzęzawiskach pamięci.
Miny czasu wybuchają zniecka.
Rzeczywiste pociski w ziemi rżą ironicznie.
- W zamku lubelskim więźniowie zabici.
Brunatni żołnierze broń ukryli na lata.
Czym jest poezja? Gdzie nerw jej wiedzący?
- Gruzy kamienne, gruzy człowiecze. Co dalej?
Żarła uparcie malaria. Obłuda pamięci.
Miażdży pokój bez okien. Szpary charkocą.
- Zmartwychwstania ustały. Aniołowie zmęczeni
Chodzą w płaszczach wytartych,
Szukają mieszkań do spania.
- Ziemia ostrzy topory.
Samotność hoduje ogień syczące.

– W krawędziach mijania nie dojrzysz
Ust, oczu i dłoni.
Co mi odpowiesz, gdy spytam,
Gdzie oddzielnie ginąłeś.

– Ty w moich oczach powstała
Z nagłego spojrzenia.
Ty w moich wargach ukryta,
Bezpiecznie uśmiechasz się troską.

– Dlaczego w lustrach zgarbiony
Odsuwasz śniegi od siebie?

– Odnalezieni zaczynamy od nowa,
Troskami zbyt szczelnie okryci.

– Nie istnieje koło doświadczeń,
Ono toczy się w różnych orbitach.

– Kształt samowiedzy jest zmienny
My nie szukaliśmy siebie,
Za nas oni myśleli,
Czyniących długie rozstania,
Oddalonych od siebie i bliskich.

– Przyjeliśmy siebie na pamięć,
Na pierścień łączący oddechy.
Przyjeliśmy siebie na ogień,
Na deszcze nawalne, na skwary.

– W krążeniu zmysłów nie łatwo
Dojrzeć synów krwi wspólnej.

Jak zjednoczyć się w myślach,
Gdy każdy umierał inaczej.

– Schrony zapadają się w ziemię.
Mury domów pochyłe.

– Wymykamy się z snów zmiennych
Ponad okopy porośłe krzakami.

– Przesypują się lata ruchliwe.

– Ziemia dźwiga nieodpoznane wyroki.

– Drzwi zamków zamknięte na klucze.
Zapadają się domy w spóźnionym konaniu.

– Kule świszczące naszych imion nie wypisały.

– Jesteśmy niespodziewanie,
Sami dla siebie, samotniejący.

– Chciałbym powiedzieć o tobie najprościej,
Ja tych słów nie udźwignę,
W ich kruchości czernieją jagody,
Może liść powie umiejętniej i ściślej,
Może pyły wypowiedzą spadając.

– W naszym domu przenikliwym zawieja
Może wczłogać się białym lodowcem.
W naszym domu zamyśleń
Czasem orzech zasiądzie.
Czasem głóg niecierpliwy.

W naszym domu mogą zasiać nieznanie,
Wybyci wszystkiego, nawet przypomnień.

– Czemu nadchodzi Horacjusz, gdy gorzki czeka już Tacyt?

– W troskach młodnieją źrenice.

Ty jesteś moim pulsem, moimi oczami.

Bez ciebie nie ma spokoju, nawet gorycze odchodzą.

Jest bezradna rozważa, kamienie wyją w ulicach.

– Sen mój odchodzi, gdy ciebie nie mam przy sobie.

Noc brązowieje. Las przesłania zaskieki.

Wybuchają pociągi na szynach. Żegna się matka.

Ziemia się kruszy. Trudno dźwigać powroty.

– Wojna nas połączyła. Ona snami nas syci,

Draży zbrojne rozdroża ugorów.

W powrozach nadziei niemota oślepla.

Odnalezieni uparcie siebie szukamy.

Odchodzimy przychodząc, krnąbrni niecierpliwi.

– Nieodpuszczone są grzechy nasze niepopelnione.

– Wskaż, jak umocnić bojażnie.

– Zapalczywe przepaście biegną na przelaj.

– Nie wyznaczyliśmy drogi, nic o niej nie wiedząc.

– Nie odwracajmy od sprawiedliwych oczu swoich.

– Nie wiem, czy źle uczyniłem, źle jestem.

Przeciw mnie nikt źle nie mówił, oprócz warg moich.

– Chodziły wejrzenia czterokrotnie szukając.
Czterokrotnie szukały i nie zdołały odnaleźć.

– Nie przyszliśmy ku sobie, aby strofować.

– Nie wyprowadziliśmy siebie poprzez rzekę biegnącą.

– Wywiedliśmy siebie poprzez źródła odżywcze.

– Nie dziwny się rosnącym strumieniom

Ani krzakom dźwigającym wyostrzoną urodę.

– Komu wypowiem, że znalazłem tę, którą znalazłem.
Cóż bym uczynił, gdybym ciebie nie znalazł?

– Jak oznajmią dłonie moje, aby radowały się.
Wstąpiłam na drogę twoją współ idąca.

– Uczta nasza, usta nasze. Moje wiano, zasmucenie moje.

– Nie odwracaj się wstecz, ziemia wybuchnie.

Nie odwracaj się obok, pochylają się słupy płonące.
Wystrzegajmy się słów swoich raptownych.

* * *

Pod śnieżyskiem, gdzie gęściej, karawany przechodzą.
Kroczą słońce, wielbłądy, wiozą skóry i miechy.
Biją w bębny poczwary, w trąby dmą, stroją miny ucieszne,
aby w sokach kwaśnienie o niewczasie nie zaszło.
Tu trza kwiat przysposobić na różności odmienne,
czyścić wzroki korzeniom wyśpiewanym zwyczajem
i ścierniska oswoić, by w przeskokach nie trzaśły.
W skołowanym bieganiu trzeba zielskom imiennie
przypomnieć, co trzeba, bo w omyłkach
niezwyczajna trucizna.

Pod białością upały, schrony ziemisk skrzętnie zawarte.
Chmury by zmylić, brązowieją cielskami,
no i słoni zabrakło, wielbłądów, piszczalek,
tylko w znakach jest wszystko, podpatrzonych
ukradkiem po nocy.

* * *

A tobie zdychanie w stepie, korzenie burzanów wysysać.
A tobie łeb biały i klatkę ulic płonąca.
A tobie wycie przestrzeni i plecy bocianie,
Worek dziurawy, otwory na ręce długachne.
Rękopisami podsycać ognisko. Gdy płomień się zachnie,
Wytrzeszczy oczyska, po śladach wymknie się lisa,
Zmyli cietrzewie, krew krzaku tryśnie gorąca.
Z waru tryl ptaków, świst niespodzianie
Potoczy się polem kulejąc, owinie się w rdzawość kamienia,
Odchyli piaszczyste ugory, zapadnie się w stawy włochate,
Chłupotem zaszasta w chrobocących kręgach sitowia.
W podziemnych rzekach Charony duszyczki wiozą
na sprzedaż,
W mózgowiach niemota złorzeczeń. Bezradność swarów
niebyłych,
Gdzie się rozproszy, komu czucia zwęglone,
dla kogo ta scheda?
Tym nie użyźni się zboże albo żelazo. Płaty milczenia.
Gromy zbutwiałe. Świąty skruszone i niebogate.
Na łodziach kozackich słonej krwi wiatr powiał.
W wodach dniewprowych huczne mogiły.

LITANIA

Łopotanie płynnych młotów.
Wybuchy szklanych granatów.
Anioły skruszonych błyskawic.
Goryle skaczących pian.
Bezwstydne śliny chciwości.
Daremne wezuwiusze wodorostów.
Nieustanne gwałcenie brzegów.
Pioruny w muszlach drzemiące.
Oślizgłe cielska ryb.
Wieżące noże piasku.
Powietrzne drzewa raj.
Płomień rozpryskanej soli.
Golgoty zakrzepłych słońc.
Wichry czołgające się po omacku.
Erekcja nieustannego płodzenia.
Klęczące stopy chmur.
Osiwiałe wzroki pożądań.
Bawoły zaprzęgnięte w wichry.
Trumny spieczonych oddechów.
Świergoty brył uskrzydłonych.
Oszczepy świetlistych łuczników.
Stogi gnijących ściernisk.
Morze dobrego i złego. Księga ciemności.

Z tomu *Ugory* (1969)

UGORY

Chwieje się ziemia ciężarna.
Wzroki kuleją na rzece.
Cuchną ryb wypatroszone oskrzela.
Oślepiiony oślizgłymi łuskami istnieję.
W babach chucie bulgocą.
Kreślą w powietrzu sprośności,
czkają lubieżnie po nocach.
Lędźwie pęcznieją bezużytecznie.
Nie ma chłopów. Na wojnie.

W odzieniu rozchlastanych kiszek
i zardzewiałych granatów leżą,
cuchną na polu tkanką nieżywą,
żarciem dla ziemi zachłannej.

Niech ziemia się dławi oczyma.
Trawy wyrosły, nadbiegają korzenie.
Strumień się czołga, kret wylazł.
Komu pierwszyczna, komu tłustości ogryzać.
Łydki babom dygocą, pierś okragleje.
W łydkach lubości łopocą, wstyd niewstyd,
wykrochmalona koszula wisi bezużytecznie.
Nie ma z kim... pozdychali. Łamagi,
chudzielce nogami włóczą na próżno.
Rdzawi się woda w oleju kołując.

W łaźni miotłami walić beznogich,
chrypie walczykiem muzyka.

Słońce spławiło się w miedzi,
w smole gryzącej, w wędzarni.

Pod płotami śmieszki załęgły się w jamie.
Nie ma gradów, deszczów, wyszczekują słowa.
Grudy gorzkie biegną, gryzą nocą uda.

Spoza stepu głucho, spoza ziemi niemo
krzyczą złe spojrzenia na ciernistą białość.
Tylko paru chłopów obsługuje dzielnie,
a czy ich nie zmoże, czy na długo starczy?

Nad sufitem kornik gryzie suche drewno,
patrzą rzędem święci skupionym spojrzeniem.
Twarze wydłużone i czernieje czerwień
złotoustej mowy dzidy pochylonej.
Koń nieskrępowany, rzeka trzepocąca.
Na kamieniu chlipie brzdąc nieurodzony.
Psy napadły tłumnie, ptaki nie wróciły.
Skrzydła ich w powietrzu krwawiąc pręgą gdaczą,
a łabędzie gdzie są, muszą być łabędzie,
aby przeszły mimo donikąd płynące.
Nawet gad potrzebny, ale jak go znaleźć?
W dzwonie siarki raźniej ogień młóci żywy,
płacze płachta stara niewymyślnym gestem.
Nawet pod pułapem gniazdo się znalazło.
Chyba w śniegu konno, no i w ciepłej skórze.
Owce i barany rozdmuchują ogień.

59

Rozstrzelane oddechy najbliższych
przez wrogów naszych a lutyh.
Upokorzenie wzroku naszego.
Miłosierdzie kruchych rozstrzygnięć.

W dołach zabitych przez wroga uspokojenie.
Pojednanie z suchą gałęzią i kołyszającą się trawą.
Myszy polnej czci oddawanie.
Wierzbie świecącej posłuch należny.
Na rozstajnych drogach skwapliwe upominanie.

Nogi w śniegu po gardziel.
W łapciach mrozu sznur siecze,
lód skruszony łyska, łapskiem ściąga do dna.
Ryby nacichają, grzeją pyskiem śliskie.
A bizonów nie ma, pewno i nie było.
W spadzistości wirów kotłowanie strachu.
Cuchnie ścierwem z dala na piaszczystych wydmach.
Jakoś to się ciągnie, byle w gębie żarcie.
Jednemu to się żyje, a drugiemu – trwanie.

A za zdradę własną ogień w brzuch i w gardło.
Za niepamiętanie przyrzeczeń koziołkować w powietrzu
obrzydliwie cuchnącym, wielokrotnie i tak samo.
Za złą kradzież tyłkiem jeździć do omdlenia.
Za prawdy mówienie zbyt szczodre w kościach łamanie.
Kto w zimie rękawice ukradnie, temu ziele
w wątrobie urośnie,
a kto sprytem zasłynie, temu szklanka wódki do pełna –
a kto babę pocieszy samotną, temu garstka łąz w dłonie.

Rosną ściany do niebios,
nie kamienne, nie drzewne, lecz z kruchego milczenia,
nie oddźwięczne, bezkątne, same w sobie żyjące,
nie cieniście kluczenie w nieodzownym pomruku,
w samokrzyku cieleśnic, dłońmi w przestrzeń uragać,
by się odbić od muru i goryczą trwożenia

słupy czynić, krawędzie, poprzez nagłe zapaście,
przez krzywizny ułomne dojrzeć w lękach pokorę.

I od ściany do ściany powłóczyście się czołgać,
ściany znaki widome, ściany znaki ostrzeżeń,
niedyszące przestworem, tylko pustką karzącą,
w niewidomym dotyku ognia chłodu marnego
gradochłosty łagodne upokorzeń wszelakich.
Zalęknione źrenice kredą kreślą usta zawarte.
Nie odejście, nie przyście, nie mijanie – nie powrót,
tylko wkoło, donikąd, mimowolne czołganie.

Dziwoptak skrzydła barwiście dźwignął
unosząc
bramy krwistoczerwone
nim
miecza ostrego dziób
rozciął
gada rozprysłą grdykę
złoci się ośmiornica
jeleń zanurzony w powietrzu
tarczą zieleni okryty
liście unosząc
przywołuje drzewo dzwonieniem
rzeka pieni się bielą
głazy płyną do piekła
korona na sępach miedziana łuszczy się gnojem
i trawą
ziołami wieczorów świtania
Dziwoptak spoza czasu
dźwiga w pazurach zdumienie
jakby przed wzrokiem przywidzeń

z głębi dna źrenic oślepych
tworzył wszystko na nowo
w przedświatku nienarodzony.

TREN

Od wielu lat usiłuję wypatrzeć jaskinię,
która zapewne istnieje, choć nic o niej nie wiem.
Tam gnieździ się usypisko moich urazów,
usypisko ruchome,

istniejące przede mną,
żywe usypisko umarłych, niemających kształtów ani form,
pozaprzęsłe, niewymierne w czasie i przestrzeni,
a jednak gnieźdzące się w moich oczach i nerwach.
Ono toczy spór ze mną, z moją krwią, z każdą komórką
mojego ciała, osobne, na przekór. W mojej krwi
zielenią glony, rozsypują się żyzne komórki
w niemocie ulewy, w zwietrzałych piorunach,
odświecnie dzieją się boje zachłanne,
ze skał skaczą zwierzęta, rozłupują się w piasku,
w którym uparcie nadają sygnały

moi przodkowie.

63

Każdy z nich był inny, mieli swoje troski,
wspinali się w powietrze, ich kształty
przestawały istnieć pogodzone z ziemią.
Jaki jest znak lęków? Jaka jest ich Arka Przymierza?
Dlaczego prowadzą wojny z ukrycia? Sycząca materia
klęczy, jest gniewna w bezbronności, a przeto i żalosna.
Wtłaczamy się w nieznanne pojazdy, drzewa

zamieniają się w muszle.

Nad brzegami niewiedzy siedzimy, przywołujemy was, my –
przywołani.

Po kolana chodzimy w strumieniu,
nieobecni drepczemy pierwsze swe słowo.
Ono przyczołgało się do nas,

wydobyte z ładu i grząskiej przepaści,
niewygasłe, a już obłupione, nim do syta nażarte
powróci, usynowi się uroczyście, przekornie samotniejąc.

POSŁOWIE

Poezja Jana Śpiewaka, który urodził się w roku 1908 i zmarł w roku 1967, jest może najbardziej zapoznana spośród wielkich osiągnięć polskiej liryki poprzedniego stulecia. Wiele czynników złożyło się na to, a najważniejszym jest jej „dziwność”, skrajny indywidualizm poetyki, dla której istotną tradycją była rosyjska awangarda – jej osiągnięć inni polscy poeci nie przyswoili sobie w porównywalnym stopniu.

Poeta wydał w swoim krótkim życiu 11 tomów wierszy. Były dobrze przyjmowane przez krytykę, mimo to nigdy nie zapewniły Śpiewakowi miejsca na polskim współczesnym Parnasie. W świadomości czytelników o wiele mocniej utrwaliła się poezja jego żony, Anny Kamińskiej.

Znakomitym przewodnikiem po tej zapomnianej twórczości jest autobiograficzny esej Śpiewaka, *Narodziny słowa*. Jest to proza jedna z najpiękniejszych po wojnie, a przy tym całkowicie niedoceniona. W głównej części dotyczy dzieciństwa i wczesnej młodości, spędzonych w Chersoniu nad Dnieprem.

Narodziny słowa to w większym stopniu świadectwo pracy pamięci niż prezentacja efektów tej pracy – wspomnień. Autor napisał: „Wszystko trzeba tworzyć na nowo, trzeba tworzyć na podobieństwo czegoś, co w rzeczy samej być może nie istniało, a w każdym razie było zupełnie inne”.

Ale nawet gdy wspomnienia są uchwytnie, plastyczne, opisane, ich źródło jest trudne do czasoprzestrzennego zlokalizowania, bo wyobraźniowe. *Narodziny słowa* rozpoczynają się od jednego z najbardziej sugestywnych w polskiej literaturze opisów stepu, tak oto zakończonego:

„Step poznałem tylko poprzez wiatr. Nic o nim nie wiem. Suchy wiatr przynosi niespodzianki stepu”. I wzajemnie, wyobraźnia przenosi swoje niespodzianki w step: „Można się w stepie zagubić. Nieustannie podróżować. Czasem można spotkać tam konnicę tatarską, czasem greckich i rzymskich wojowników”. Czyżby więc narodziny słowa były narodzinami do przygód wyobraźni? Wyobraźni tej, która jeszcze przed wojną spełniła się tomem *Wiersze stepowe?* – Dzikie i dziwne prozy Śpiewaka bierze się z metaforycznie rozumianej „kresowości”: stepy nad Dnieprem były historyczno-geograficznymi kresami Rzeczypospolitej i kresami zmysłowej Rimbaudowskiej wyobraźni.

Można by tak sądzić, bo wiele miejsca zajmują w *Narodzinach słowa* rozważania nad mową dziecka: „Słowo nagle wymyślone i wypowiedziane w odpowiednim momencie tworzyło cuda. Słowo zmieniało kształty i formy, słowo zmieniało przestrzeń, wszystko zależało od słowa”. Śpiewak opisywał liczne dziecięce prepoetyckie doświadczenia ze słowem, całą kunsztowną strategię magicznych zabiegów, rytmów, przemilczeń, wypowiedzeń. Przywołane partie *Narodzin słowa* są równie wnikliwe i sugestywne, jak i proza niedawnej noblistki, Herty Müller, *Król kłania się i zabija*, również autobiograficzna, zajmująca się dziecięcym słownym mitotwórstwem.

Wczesne dzieciństwo poety i jego podwórkowych kolegów z Chersonia zakończyło się okresem głodu podczas I wojny światowej. Długotrwały głód deformuje psychikę, wywołuje majaczenia: „W nocy wszystkie widziane czy zasłyszane pokarmy łączą się ze sobą, rozbijają się na drobne czynniki, przybierając różne postacie, formy i nazwy”. Głód, jego obsesyjność, zaczyna panować nad dotąd wolnymi kształtami i formami spontanicznie rodzonymi przez słowa.

W dzieciństwie poety bezpośrednio zetknęły się ze sobą czas tryumfalnej słownej magii z czasem ponizenia słów.

Zapomina się o tym, że poetom, synom i wnukom Rimbauda – rewelatorom nowożytnej wyobraźni, były dane nie tylko doświadczenia słowa projektującego nowe światy, ale i doświadczenia głodu w jednej chwili sprowadzającego te światy nawet nie do realiów – do nicości... Trzeba jednak pamiętać o tym, że świadomość tych dwóch krańców, eskapizmu i cierpienia, ukształtowała etos całej formacji poetów doświadczonych dwoma wojnami, wśród nich Jana Śpiewaka (podobnie to przebiegało choćby w liryce jego bliskiego przyjaciela, Stanisława Piętaka).

Być może w pierwotnych zamierzeniach twórcy *Narodziny słowa* były tylko prozą o dzieciństwie. Po opisie pierwszego wojennego głodu nastąpił jednak bez przejścia, z gwałtowną mocą podświadomości, opis następnego głodu – z lat II wojny światowej. W samo centrum wyznań z dzieciństwa wdarła się wstrząsająca relacja o chorobie, wycieńczeniu z niedożywienia, o rozpacz po utracie rozstrzelanych rodziców, relacja z przeżyć dojrzałego, 30-letniego mężczyzny. Później dopiero nastąpił powrót do dalszych losów dziecka. Nie powinno się nazwać tej morderczej kłamry chwytem kompozycyjnym. Wolno powiedzieć tylko tyle: magia słowa pozwoliła poecie wspomnieć dzieciństwo – wspomnienie dzieciństwa stało się przypomnieniem wojennego zniewolenia słów i wyobraźni, obróciło się przeciwko słownej magii. Było to udziałem poetów tego pokolenia. Tak więc, dramatycznie, trzeba czytać ich wiersze powstałe pod druzgocącym ciśnieniem obu wojen światowych.

Wstrząsające świadectwo o powojennych obsesjach Jana Śpiewaka dał jego syn, Paweł, w książce *Księga nad księgami. Midrasze*.

Mój ojciec miał w biurku schowany cukier i mąkę. Chował je nie dla siebie, ale dla dzieci. Był bardzo niespokojny. [...] Gdy wracaliśmy do domu, pierwszy dochodził do drzwi. Sprawdzał, czy nic nie jest na nich namazane. Ciągłe się bał i czekał. Na swoich rodziców. Wiedział, że zginęli, ale szukał ich pośród starszych ludzi idących w kierunku naszego domu.

Narodziny słowa opowiadają o bliskich poety, o rówieśnikach, o przyrodzie i rodzinnym mieście, o najwcześniejszych lekturach, o echach polityki i rewolucji. Mówią też o latach szkolnych – po przeniesieniu się rodziny do Lwowa. Jest to opowieść szczegółowa, niepomijająca społecznych uwikłań i ich socjologicznej analizy, śledząca przedłużenia faktów i myśli aż do dzisiaj. Ten problemowy materiał posłużył Śpiewakowi w jego późnych poematach do swoistej, samodzielnej konstrukcji historiozoficznej. Liryk wyzwolonej wyobraźni potrafił za jej pomocą wypowiedzieć się w kwestiach historii XX-wiecznych idei, zarówno totalitarnych, jak i wolnościowych.

A wszystko to już na zawsze zostało zamknięte między skrajnościami – wyobraźnią poetycką i fizjologicznym głodem. Czy będę zbyt patetyczny, jeśli powiem, że wiersze Śpiewaka stworzyły wyobraźnia i głód?

*

W pierwszym kontakcie z poezją Jana Śpiewaka ma się wrażenie mieszaniny, ruchomej i zarazem monolitycznej. Łączą się ze sobą abstrakcja i zmysłowość, żywioł fantasmagorii jest nierozdzielnie zmieszany z brutalnie przedstawionymi, cielesnymi konkretami. Wydaje się, że słowo i rzecz tworzą jednorodną duchowo-materialną substancję, która bez reszty wypełnia świat, po prostu jest światem. Nie

ma nicości ani jako braku materii, ani jako braku ludzkiego języka. Próżnia to, najwyżej, wielka powietrzna przestrzeń, a niemota to jedynie chwilowe milczenie.

W tym szczelnym i ekspansywnym poetyckim tworzywie spełnia się rzeczywistość. Jan Śpiewak jest jednym z nielicznych, których bez uproszczenia można nazwać poetami rzeczywistości¹.

Dopiero po dłuższym zżyciu się z tą liryką dostrzega się jej wyrafinowaną refleksję nad słowem, a więc dystans do wymieszanej, słowno-rzeczowej substancji. Nigdy jednak refleksja nie wyradza się z tej mieszaniny.

Jan Śpiewak, nasycając światem swoje wiersze, spowodował, że namysł nad ich treścią nigdy świata nie wyczerpie. Przedmiot tej poezji wiecznie się odnawia między okiem a umysłem czytelnika, poezję tę można czytać jak nieogarnioną przyrodę, w językach wszystkich zmysłów, a zawsze sensownie. Refleksja na d wierszami jest zarazem w n i c h, tak jak człowiek i jego myśli zawierają się w naturze.

Był jednym z tych poetów spłoszonych powszechnym nadużywaniem słów, którzy najpierw chcą dobrze zrozumieć sens samej czynności nazywania, aby później wiarygodnie nazwać człowieczeństwo. Szukał znamion ludzkich tam, gdzie były one nieoczywiste, rozprasające się w poznawaniu kosmosu. Chcąc w człowieku wypełnić ubytki człowieczeństwa, szukał wyrazu ludzkiej twarzy na żyłkach liści, w spękaniach gleby – a miałyby to być twarz poważna, bez mizdrzącego się grymasu. Jeśli wykrzywiona, to jak w przyrodzie – z bólu albo pod przymusem naturalnych konieczności.

¹ Pod koniec tego szkicu postaram się pokazać, że jest jednak w poezji Śpiewaka miejsce na szczególnie pojmovaną niematerialność i niewyraźność. Głód jest jej pseudonimem i realnym przeżyciem.

Żadnym swoim wierszem nie upokorzył kropli wody, nie uczynił z niej zwierciadła, nie pysznił się autoportretem wrytym w kamieniu. Wśród chaosu znaczeń, który wzbudzał w sobie, oczekiwał tylko znaków istotnych i dlatego nie przeoczył najistotniejszego: wśród lakonicznych minerałów, roślin i zwierząt znalazł dramat ludzkiej tożsamości, niesentymentalnie wyrażony, zwięzły jak logiczny paradoks. Nieprześcignioną w wyrazistości formułę tego dramatu (jak i wielu innych dramatów współczesnej świadomości) zawdzięcza się poezji Mickiewicza.

Uciec z duszą na listek i jak motyl szukać
Tam domku i gniazdeczka –

(*Uciec z duszą...*)

Wtem obaczyłem jaskółkę, z powrotem
Już leci: za nią jakby wojsko czarne:
Sosny i lipy, piołuny i cząbry,
Świadczyć przeciwko mnie –

(*Śniła się zima*)

Przyroda jest upragnionym domem, ale świadcząc przeciwko człowiekowi, odmawia mu schronienia.

Jan Śpiewak, który w poemacie *Anna* napisał: „Nie ma przyrody bez ludzi. Nie było jej i nie będzie. / To myśmy jej dali imiona, przymioty i charaktery”, wiedział dobrze, że to człowiek unika swojego sumienia, boi się własnej tożsamości, człowiek kryjący swój egzystencjalny lęk w imionach przyrody. W *Słowie o człowieku* po swoim powtarza Mickiewiczowskie rozdarcie:

Mnie przyroda nigdy nie skrzywdzi.
My z nią razem na ty, od dzieciństwa.

Jak mogło się stać? Jak mogło się zdarzyć,
Aby na mój widok kwiaty zwierały liście,
Brzoza unosiła gałęzie do góry,
Kamienie odwracały się ode mnie.

W innych wierszach Śpiewaka ten dramat ukazano w nieco węższym, ale równie ważnym aspekcie. Oto człowiek wobec przyrody jest „obserwatorem chciwym”, niebezpiecznym. Przyroda natomiast patrzy na człowieka „obojętnie i wytrwale”. I staje się tak jak w wierszu *Mysłący liść Moora*. Patrząc, „obojętnie i wytrwale”.

Mysłący liść roztropnie nie dostrzegał innych stworów,
Nie dostrzegał stworów także myślących
One patrzyły na liść z lękiem.
Patrzyły wymijając własne obawy,
Wymijając własną obcość, własną nieufność.

73

Tłumaczę sobie ten wiersz następująco: nieludzka przyroda jest wyzbyta uczuć, obiektywna, niewzruszona. Budzi w ludziach lęk. Ale jest to lęk zbawienny, pozwala patrzeć zgodnie z własną przyrodą ludzką, pozwala wyminąć własną nieautentyczność.

Jakby przemawiał sam Pascal: „Ale gdyby nawet wszechświat go zmiążdżył, człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to, co zabija, ponieważ wie, że umiera, i zna przewagę, którą wszechświat ma nad nim”.

W zasadniczym współbrzmieniu myśli filozofa i poety jest jednak zasadnicza różnica. Pascal zakończył swoją myśl: „Wszechświat nie wie nic o tym”. Śpiewak chętnie zaprzeczyłby: wszechświat o tym wie i umyślnie prowokuje ludzki heroizm. Wszechświat jest bytem rozumnym.

*

W poezji Śpiewaka cała rzeczywistość przeniknięta jest swoistą ludzko-przyrodniczą wiedzą, chciałoby się powiedzieć „współwiedzą” równoznaczną współodczuciu: człowiek wie o przyrodzie, przyroda wie o człowieku. Co jednak znaczy słowo „wiedzieć”? Co jest w tej wiedzy tak niepokojącego, że poeta zakończył wiersz o myślącym liściu Moora słowami: „Mój wzrok, mój kruchy wzrok płonął”?

Wiedza tego rodzaju nie ogranicza się do obserwacji. Jest poznaniem, uczestnictwem ludzkiego rozumu w powszechnym i rozdzielonym między indywidua rozumie przyrody: rozumne w wierszach Śpiewaka są łąki, krople, zioła, kamienie.

Poeta szukał mistrzów takiego rozumu pośród mieszkańców wsi, jeszcze w jego czasach kulturywujących archaiczne wyobrażenia. W wielu utworach empatycznie odtwarzał ich monologi, potrafił przy tym zachowywać wszystkie cechy mowy osobniczej, traktował wysłuchiwaną chłopskich mędrców jak samorodnych poetów:

No a w polu, a w polu, co w polu?
Chodzi ziemia garbata kulejąc.
Tam trawiaście, zielono, każdy wi oczywiście.
W lecie wiatr koziołkuje przez osty.
[...]
Ot, co łąka, spichlerz rozumny.
Pole, półko, półeczko zaprzeszle.

(Bożydary srebrzyste)

Wydawałoby się, że poznanie rozumu przyrody jest dla tego poety uczestniczeniem w harmonii. Rozum przyrody to regularne rozłożenie ściśle fizycznych cech – geologiczny

układ skalnych warstw, faktura ziemi, morfologiczny podział rośliny, ślady działania wielowiekowych przyrodniczych rytmów:

Posłuchajmy mowy gliny i piasku.

Mowy znieruchomienia.

Domyślmy się, czym właściwie jest ta mowa.

Czym różni się ona od mowy zmienności.

(O mowie gliny i piasku)

Im te ślady kosmicznych rytmów są gęstsze, im mniej pozostawiają materii dziewiczej, nieprzepracowanej przez czas, tym przyroda jest rozumniejsza: „Ziemia w ugorach skupiona rozwąga rozliczeń”. Dotyczy to także działalności człowieka; symbolem produktów kultury są „księgi skupione rozumnie”. Nazwy ksiąg są zrównane w wierszach z nazwami minerałów, roślin, zwierząt – to ich największe dostojęństwo. Kanon ksiąg jest dla poety rzeczywistością równą podstawowej, kosmicznej. Obraca się wśród tego kanonu jak w kalendarzowym roku przemian, w sakralnym roku doświadczeń: „Lato przynosi »Pieśń nad Pieśniami«, jesień »Księgi Hioba«, / Czemu nadchodzi Horacjusz, gdy gorzki czeka już Tacyt?”.

Chodzi tu zapewne o poczucie rozumności zbliżone do kategorii logosu, o którym teolog Paul Tillich napisał: „Jest rozum w ruchu jakiegoś elektronu, i jest rozum w pierwszych słowach dziecka”. I w słowach poety – trzeba dodać.

Słowa poety dramatyzują taką logosową ufność, odkrywają, że ludzkie poznanie tylko z pozoru jest w harmonii z wszechświatem rozumności. Oto fragmenty poematu *Słowo o człowieku*:

W skałach słoje smoliste trzaskają uczenie [...]

Wsluchuję się w mowy kamienne [...]

Mowy pozaprzestrzenne, ściśle niezrozumiałe.
Tylko moja niewiedza, absolutna niewiedza
Równała mnie z kruszcem, fosforem i wapniem.

Jest to więc taka mowa, taka rozumność natury, jaka wymaga od poety „niewiedzy absolutnej”. Oto dylemat najważniejszy: przyroda ofiarowuje nam niehumaną wiedzę o sobie pod warunkiem, że wyzbędziemy się swojej własnej. I odwrotnie: poeci chwytają przyrodę w ludzką mowę czasowo-przestrzennych odniesień, a ona się w tych odniesieniach nie może odnaleźć. Z obu stron, ludzkiej i przyrodniczej, zasadnicza niewspółrzędność! A przecież do przyrody należy także (i zależy od niej) ludzki los i od przyrody bierze się wzorce ogólnego ładu.

Każdy poeta podstawę i impuls twórczości widzi w ludzkim słowie i w milczącym kosmosie własnej biografii wraz z doświadczeniem świata czekającej na nazwanie. Niewspółrzędność, o której napisałem, narusza autonomię osoby i osłabia prawdę słowa. W poemacie *Małe hymny* Śpiewak powiedział:

Nie odejdę od siebie, nie powrócę do siebie.
Otoczony sobą, nie wywinę się sobie. [...]
Pokorny sobie, zaprzeczam sobie.
Dwoistość liczby i słowa jest dwuskrzydła,
Niewymierna, niewspółrzędna, ogniem tworząca.

Powrócę do wiersza *Mysłący liść Moora*, aby przypomnieć, że mówi on nie o liściu z drzewa, lecz o rzeźbie liścia, dziele artysty. W wyborze tego tematu zawiera się poetycki optymizm Jana Śpiewaka. „Mój wzrok, mój kruchy wzrok płonął” – pisał, a jest to płomień „ognia tworzącego” sztukę i ognia przez sztukę rozpalonego. Nieruchoma mowa przyrody

prowołuje do eksplozji mowę ludzkiego poznania.

Na eksplozywność wyobraźni Śpiewaka wskazywali wszyscy piszący o nim. Najpiękniej określił ją on sam: „Wydobywa z pamięci płonące zdania, które nieomal samoczynnie tworzą wiersz. Ta lawa słów i obrazów po latach nie krzepnie”. „W kraterze nagłego wybuchu wszystko dzieje się jednocześnie”. Zdania te Śpiewak wypowiedział o swoim przyjacielu, Stanisławie Piętaku, ale przecież to jawna autocharakterystyka!

Czy po przejściu przez ogniowy czyściec, przez tę do ostateczności doprowadzoną analizę poznania, słowo poety jest bardziej wiarygodne? Na pewno jest uwolnione od norm, a co ważniejsze, od doktryn tradycyjnej gramatyki. Jak napisał Etienne Gilson w książce *Lingwistyka a filozofia*, dawni gramatycy-filozofowie, a także ich bardzo liczni współcześni naśladowcy sądzą, że „dzieło rozbioru myślenia jest już dla nas zastane i doprowadzone do końca, bez reszty, przez sam język”. Ten sam autor dowodził, że dla nowożytnej świadomości jest to pogląd nie do przyjęcia – wiadomo, że ani myślenie nie jest rozkładalne, ani też język nie jest prostym narzędziem klasyfikacji. W latach 60. ubiegłego stulecia jednakże, kiedy twórczość Śpiewaka osiągała dojrzałość, mniemania badaczy i krytyków poezji były w tej kwestii anachroniczne, powszechnie panujący strukturalizm narzucał statyczny, totalizujący obraz języka poetyckiego. Dla warsztatu wielu poetów było to dezorientujące: eksperymenty dźwiękowe, słowotwórcze i składniowe pozornie tylko przebiegały w niepoddającej się normom materii wiersza – były raczej eksperymentami na stereotypach, na potocznych wyobrażeniach o mowie poetyckiej, a nie doświadczeniem tej mowy. Nawet tacy ówcześni rewelatorzy świadomości językowej, jak Miron Białoszewski i Tymoteusz Karpowicz,

niekiedy ulegali przeświadczeniom strukturalistów.

Trzeba by osobnego, udokumentowanego szkicu, aby pokazać, jak unikając łatwej i prostackiej gry kategoriami słowotwórstwa i składni, Jan Śpiewak m y ś l a ł m o w ą, a nie z a p o m o c ą m o w y, jak mowa stawała się myślą, a nie biernie dopasowującym się do myśli narzędziem².

Jeden tylko przykład z poezji Śpiewaka: w wierszu *Litania* następują po sobie, wers po wersie, zdania określające wrażenie rozfalowanej powierzchni morza:

Łopotanie płynnych młotów.

Wybuchy szklanych granatów.

Anioły skruszonych błyskawic.

[...]

Wichry czołgające się po omacku.

Erekcja nieustającego płodzenia.

[...]

Trumny spieczonych oddechów.

[...]

Morze dobrego i złego. Księga ciemności.

Są to proste struktury gramatyczne, równoważniki zdań tak do siebie podobne, że ich następstwo, aż prosi się o nazwę paralelizm. Jakież to jednak złudzenie! Aby stwierdzić paralelizm, należy odkryć podobieństwo elementów umieszczonych na podobnych miejscach zdań. W wierszu Śpiewaka jest to niemożliwe. Części mowy, „obsługując” irracjonalne i niewyobrażalne pseudoobrazowe sensory, zmieniają swoje funkcje, które pozwalają je określać jako takie, a nie inne części mowy, nie można wyróżnić segmentów zdania, bo

² W czasach, gdy tworzył Śpiewak, podobnymi właściwościami odznaczała się poezja Arnolda Słuckiego. Po kilkudziesięciu latach m y ś l e n i e m o w ą – chociaż w innej zupełnie wyobraźniowej dziedzinie – uprawiała Krystyna Miłobędzka.

całości zdaniowe, mimo że kończą się kropką, jakby się w sobie nie mieściły, jakby sugerowały swoje przedłużenia domyślnie tylko wypełnione słowami. Tak właśnie poeta myślał mową o morzu – mową płynną, wiecznie powtarzalną, ale zawsze zmienną, o morzu powtarzalnym i zawsze zmiennym.

*

Jest tu miejsce, żeby powiedzieć także o całkowitej odmienności poetyki Jana Śpiewaka i o jej tradycji unikalnej dla polskiej liryki.

Poezja Śpiewaka w swoich głównych nurtach wywodzi się z tradycji rosyjskiej awangardy, szczególnie Wilemira Chlebnikowa, którego poeta tłumaczył na język polski i popularyzował językoznawcze idee w Polsce. A za pośrednictwem Chlebnikowa dotarł Śpiewak do takich warstw i cech mowy, jakie są właściwe poetyckiemu językowi rosyjskiemu – i usiłował, z powodzeniem, odszukać je, dotąd utajone, w znaczeniowych i ekspresyjnych właściwościach polszczyzny.

Zacytuję kilka uwag z eseju Siergieja Awierincewa, *Słowiańskie słowa a tradycja hellenizmu*, żeby uprzytomnić, o jakie warstwy i cechy chodzi. Badacz ten podkreślił helleński rodowód narodowej literatury rosyjskiej i ostro odróżnił go od tradycji łacińskiej. Jakże jest to odmienne od polskiej poezji: jej składnia była przecież kształtowana na wzorcach łacińskich.

Najważniejszymi cechami odziedziczonymi po helleńskiej mowie są w rosyjskiej poezji gęste „sploty słowne” i „słowne wiry”, „zdławienie lirycznego oddechu od nawału słów”, „wiara w materialność, substancjalność słowa”, żywość słowotwórczej wyobraźni.

Są to inspiracje poezji Jana Śpiewaka. Do głębi je przeżył i przemyślał, studiując i tłumacząc Chlebnikowa. Lepsiej byłoby powiedzieć, że Śpiewak nie tyle Chlebnikowa tłumaczył, ile przetwarzał go, traktował jak poetycką ziemię pod własną uprawę. Wziął też od niego, z jednej strony, głęboką mitologię rytmów scalających wszechświat i mowę wszechświata, jego „przyrodniczą mądrość”, a z drugiej strony, burzycielską energię słów. Chlebnikow mówił: „Słowotwórstwo to rozsadzanie językowego milczenia głuchoniemych warstw języka”.

Wczuwając się w świat kultury i literatury rosyjskiej, Jan Śpiewak napisał kilka wierszy będących portretami wielkich rosyjskich poetów XX wieku. W ten sposób, z niebywałą empatią, charakteryzował Annę Achmatową, Marynę Cwietajewą – i oczywiście Wielemira Chlebnikowa.

Przenosząc rosyjskie tradycje i doświadczenia poetyckie na polską glebę, Śpiewak dokonał aktu założycielskiego właściwie do dzisiaj niepodjętego. Nieśmiałą jeszcze, chociaż poetycko udaną próbę kontynuacji widzę w utworach Joanny Mueller, skądinąd badaczki twórczości Wielemira Chlebnikowa.

*

Zdarza się, że poeci, którzy przez użycie dość prymitywnych środków językowych dopracowali się tzw. własnego stylu, nie mogli nim ogarnąć szerokiej skali tematów i szerokiego repertuaru form kompozycyjnych. Dzięki indywidualnej, odróżnialnej na pierwszy rzut oka, ale zmiennej, żywej mowie Jan Śpiewak był w stanie wykorzystać w swojej poezji jakże rozbieżne doświadczenia umysłu: myślenie magiczne, historyczne, przyrodnicze, socjologiczne. Z zaklęć, z interpretacji faktów historii gospodarczej i politycznej, z obserwacji fau-

ny i flory, z własnych dociekań nad zjawiskami urbanizacji budował cykle i poematy. Są to imponujące konstrukcje i zarazem narzędzia intuicji, którymi Śpiewak ogarniał i przenikał zasadnicze i formujące współczesną świadomość zjawiska XX wieku. I kładąc na nich burzycielskie akcenty własnej niepoohamowanej emocjonalności, nigdzie nie zdradzał, nie zakłócał ich obiektywnego wizerunku.

Jeden z takich poematów, *Soki drzewiane*, jest syntetyczną wizją oraz ideową mapą świata tuż przed I wojną światową, jakby odbitą w świadomości człowieka zanurzonego w żywiołach przyrody. Inny, *Trzaskanie płaszczyzn*, oddaje kataklizm tej wojny i następującej po niej rosyjskiej rewolucji. W poemat *Słowo o człowieku*, ściśle autobiograficzny, jest wpisana historia obu wojen i międzywojnia. A poemat *Słowo i lęki* to przejmująca próba ukazania całej ludzkiej kultury i cywilizacji, od archaicznych mitów po tryumfy nauk przyrodniczych, kultury i cywilizacji rozdartej między morderczymi instynktami a utopią raj. We wszystkie te poematowe cykle wpleciono refleksję nad poetyckim rzemiosłem i jego nowożytnymi przemianami.

Dociekliwość poznawcza umożliwiła poezji Śpiewaka osiągnąć taki obiektywizm, że jej jedność artystyczna obejmuje nie tylko wiersze o innych poetach, trafniejsze częstokroć niż analizy krytyków, nie tylko wiersze – eseje o historii kultury czy wiersze – traktaty metafizyczne, ale, co najtrudniejsze, pozwala poezji osiągnąć obiektywizm wobec biografii jej twórcy. Nie odbywa się to przez łatwy dystans, który oznacza skłamaną dojrzałość albo brak szacunku do pamięci.

Dzieciństwo, głód podczas obu wojen światowych, męczeńska śmierć matki i ojca zamordowanych przez hitlerowców, miłość, przyjaźń, radość i odpowiedzialność ojcostwa, wszystkie te akty losu wraz z ich życiowymi

okolicznościami są wymienione w wierszach i poematach Śpiewaka. I nie tylko wymienione. Poeta nie mitologizował swojej biografii, myśląc o swoim życiu, jego faktami i interpretacjami tych faktów sprawdzał mity powszechne i ogólną wiedzę antropologiczną. Drogi jednego konkretnego życia prowadziły przez obszary myśli, o których była mowa: przez historię, socjologię, psychologię zbiorowości, przez przyrodnicze i kulturowe trwanie, przez rewolty, przez ludową magię i rzeczowość.

O Janie Śpiewaku można powiedzieć, że swój trudny los przeżył i przemyślał, że dostał i zgody, i buntu.

Nie odejdę od siebie, nie powrócę do siebie.

Otoczony sobą, nie wywinę się sobie [...].

Pokorny sobie, zaprzeczam sobie.

Nie jest to biadanie nad utratą tożsamości, nad rozbitą osobowością. Powiedział to poeta, który swoją tożsamość zbudował ze słów wypróbowanych w skrajnych sytuacjach człowieczeństwa. Być może brzmi to dzisiaj ironicznie – zbudować cokolwiek egzystencjalnie ważnego ze słów. A jednak on wierzył, może jeden z ostatnich, że słowa są budulcem najtrwalszym.

Wiara, dająca oparcie na głębokich strukturach umysłu, pozwalała mu stawiać pytania o niewyraźność. Obsesją poety stała się „niewymierna w czasie i przestrzeni” „grota poza czasem i przestrzenią”, miejsce w umyśle, gdzie wspomnienia rodzą się istniejąc, nie istniejąc, przede wszystkim wspomnienia rodziców poległych męczeńską śmiercią. Oto początek *Trenu*:

Od wielu lat usiłuję wypatrzeć jaskinię,

która zapewne istnieje, choć nic o niej nie wiem.

Tam gnieździ się usypisko moich urazów,

usypisko ruchome, istniejące przede mną,
żywe usypisko umarłych, niemających kształtów ani form

Jakże to jest bliskie rozważaniom dzisiejszych językoznawców – kognitywistów, badających paradoksy związane z „przestrzenią mentalną”!

Jeśli w wierszach wielkich poetów jest zaświadczone też poczucie wielkiego braku, jeśli jak Jan Śpiewak w rzeczywistość włączają to, co „pozaprzestrzenne, poza konkretem”, co jest „krajem rzeczywistym, zmyślonym” – to oczywiście jest: mowa o podstawowym głodzie człowieczeństwa, o wiecznym nienasyceniu, o życiu, które się spełnia, gdy osiąga świadomość niespełnienia. Nie są to banały „negatywnych poetyk” – dzięki wielkim poetom są to prawdy.

*

W niniejszym tomie uwspółcześniono jedynie ortografię, interpunkcja pozostała zgodna z wersją autorską.

SPIS TREŚCI

Z tomu *Wiersze stepowe* (1938):

Sonata dziecięca	5
Wiersze stepowe	7
Rodzice	11
*** [Podpływa strumień liści...]	13
*** [Po schodach wierszy...]	14

Z tomu *Wiersze* (1950):

*** [Wydobędziemy z oczu wieczór...]	15
*** [A przecież wreszcie się wypali...]	16

Z tomu *Zielone ptaki* (1958):

*** [Nagle zaczął krzyżeć...]	17
*** [Podczas ulewy ujrzałem...]	18

Z tomu *Dialogi naiwne* (1960):

Smuga przekształceń	19
Oto dziwy moje	20
Karkulując bez drogę...	21
Mysłący liść Moora	22
Słowo o człowieku (fragmenty):	
Słowo czwarte o spalonym mieście	23
(część pierwsza)	
Słowo szóste o samotności i niewiedzy	26

Z tomu *Zstąpienie do krateru* (1963):

Trzaskanie płaszczyzn 36

Z tomu *Anna* (1967):

Anna 42

*** [Pod śnieżyskiem...] 55

*** [A tobie zdychanie w stepie...] 56

Litania 57

Z tomu *Ugory* (1969):

Ugory 58

Tren 63

Posłowie – Piotr Matywiecki 67

Wydawca
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
www.teatrnn.pl



Autor
Jan Śpiewak

Redaktor serii
Piotr Mitzner



Korektor
Joanna Pikuła

Skład, układ graficzny
Flora Nastaj

Druk i oprawa
Drukarnia Petit
www.petit.lublin.pl

Lublin 2012
ISBN 978-83-6104-35-0

MIASTO



POEZJI

OŚRODKA

WYDAWNICTWO



BRAMIA GRODZKA

TEATR NN